



JANINA SADZIKOWSKA

Przesłuchanie świadka w sprawie zbrodni popełnionych przez hitlerowskich okupantów w Polsce. Dnia 5 lutego 1946 r. sędzieja Remigiusz Moszyński, przy udziale protokolanta, emerytowanego sędziego Sądu Apelacyjnego, Stanisława Poznańskiego, po uprzedzeniu o obowiązku mówienia prawdy i o odpowiedzialności za fałszywe zeznania, zbadał niżej wymienioną, która odpowiedziała na ogólne pytania:

Imię i nazwisko	Janina Sadzikowska
Imiona rodziców	Franciszek i Józefa
Data i miejsce urodzenia	10 września 1927 r. w Łodzi
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość	polska
Zajęcie	przy mężu, szewcu
Miejsce zamieszkania	Lublin, ul. Króla Leszczyńskiego 12

oraz zeznała, co następuje:

Przed wybuchem wojny pracowałam w fabryce materiałów wełnianych w Łodzi, gdzie pracowało dużo Niemców. Na skutek wypadków poprzedzających wojnę i nastrojów antyniemieckich robotnicy i ja w ich liczbie staraliśmy się wyrzucać Niemców z tej fabryki, gdy zaś Niemcy wkroczyli do Łodzi, to Niemcy – pracownicy tej fabryki należącej do Burego – wskazali na tych, którzy głosowali za wyrzuceniem pracowników – Niemców, a w tej liczbie na mnie, jako na wrogów niemieckości. Wraz z innymi pracownikami tej fabryki zostałam aresztowana i osadzona początkowo w więzieniu w Łodzi, gdzie spędziłam dwa lata. Następnie zostałam przewieziona do Oświęcimia. Tam przebywałam trzy lata, a w sierpniu

1944 r. zostałam wraz z 500 innymi kobietami przetransportowana do miasta Metz, do fabryki amunicji. Po dwu tygodniach wytransportowali nas stamtąd Niemcy pieszo do wsi Döllstädt i podczas silnego nalotu aliantów zbiegłam do lasu wraz z innymi koleżankami; wprędce zostałam zwolniona przez wojska amerykańskie.

Gdy siedziałam w więzieniu w Łodzi, prowadzono wobec mnie śledztwo i bito tak, że byłam cała czarna od sińców, krew sączyła się z ran, wybito mi dwa zęby, żeby wymusić zeznania. Wreszcie zostałam skazana na wywiezienie do Oświęcimia, gestapowcy mówili, że tam zdechnę. W Oświęcimiu zmuszano nas prawie po kilkanaście godzin na dobę do pracy na polu, w kamieniołomach i przy żniwach. Otrzymywałyśmy dziennie niby-herbatę z jakichś ziół czy po prostu z trawy i na obiad pół litra zupy, a właściwie wody zaprawionej burakami, na kolację zaś kromkę chleba 10–12 deko i to musiało wystarczyć na cały dzień. Obchodzono się z nami okrutnie. Ponieważ w większości byłyśmy wyczerpane głodem i pracą, to za każdym razem, jak wracałyśmy z roboty, przynosiłyśmy ze sobą cztery, pięć trupów kobiet zmarłych podczas robót.

W części obozu, gdzie przebywałam, *Lagerführerkę* była niejaka Mandel [Mendl], a *Raportführerkę* niejaka Drekslerka [Drechsel], imion ich nie znam. Obie obchodziły się z więźniarkami okrutnie. Biły przy każdej sposobności, przy spotkaniu, przy jakimś drobnym uchybieniu. Biły rękoma, a przy jakimś większym przewinieniu nakazywały się stawić do bloku *Lagerführerki* i tam więźniarki otrzymywały kary polegające na 25 uderzeniach po gołym ciele lub też na klęczeniu na kamieniach dwóch, trzech do pięciu godzin. SS-manki, konwojujące więźniarki przy robotach, szczyły je psami, które niejednokrotnie wyrwały ciało więźniarkom i dotkliwie je kaleczyły. Nazwisk tych dozorczyń wskazać nie mogę.

Zeznająca okazała na lewym ręku blizny powstałe, gdy SS-manka chciała jej wytatuować nr 8037 na rękę. Ona nie zgadzała się na to, wówczas [jak mówiła]:

„Oblała mi rękę benzyną, podpaliła i na tym sparzeniu wytatowała siłą powyższy numer, nie zważając na mój krzyk wywołany straszliwym bólem. Dodaję, że cała moja rodzina została wywieziona z Łodzi i co się z nią stało – nie wiem”.